



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

ROŚLINA ŚNIEŻNA.

Mamy w naszym klimacie roślinkę, wychylającą się wczesną wiosną z pod śniegów, jest nią znany powszechnie pierwiosnek. Kwiateczek ten pojawieniem się swoim daje jakoby znać otaczającym krzewom i ziołom, iż pora ocknąć się z zimowego snu.

Kalifornia, w Ameryce północnej, jest ojczyzną jeszcze ciekawszej rośliny tego rodzaju, wyobrażonej na naszym rysunku. Łacińska nazwa tego zwiastuna nadchodzącej wiosny brzmi: *Sarcodes sanguinea*; amerykanie znają ją wszakże pod mianem *snow plant* t. j. śnieżnej rośliny.

Oryginalny wielce widok przedstawia korona jej ozdobiona różowymi kwiatkami, w formie grona. Wśród śniegów, oko nie dostrzega jeszcze żadnych śladów roślinności, jedna tylko *sarcodes sanguinea* ożywia smutny zimowy krajobraz.

Liście tej rośliny są ułożone dokoła łodygi dachówkowa- to, i zawierają wiele soków; na podobieństwo grzybów, *sarcodes* żywi się nie materiałami czerpanymi z otaczającego powietrza, lecz produktami, pochodzącymi z rozkładu ciał organicznych.

ALBANIA.

II.

Nigdzie może dawne zwyczaje i obyczaje nie są tak szanowane jak w Albanii, gdzie objęte ogólną nazwą *Adet* (prawo) przetrwały wieki i dziś jeszcze mocy swej nie straciły.



Roślina śnieżna.

Każde plemię góralskie, osiadłe wśród gór swoich, jak w osobnym kraiku, do którego dostęp nie jest łatwy, posiada osobne też zwyczaje, nie zawsze zgodne z wymaganiami cywilizacji. Jednym z takich jest wielka trudność w wyszukaniu dla nowonarodzonego dziecięcia ojca chrzestnego, nie może być nim bowiem żaden z krewnych, a ten który do chrztu trzymał kogoś, choćby z najdalszych krewnych, już przez to samo staje się powinowatym rodziny. Zwyczaj pozwala także nadawać dziecięciu nietylko imiona tureckie, lecz takie na przykład jak: „wódka, robak, cukier, góra, sokół, kura i t. p. co zapewne czyniono dawniej w tej myśli, aby uniknąć prześladowania mużułmańskiego.

Dziecko, zanim jeszcze ochrzczone zostało, otrzymywało od znajomych rodziców tak bogate dary, że aż składać je zakazała władza duchowna, żeby zapobiedz rujnującemu współubieganiu się o pierwszeństwo w tej mierze. Teraz więc każda z kobiet odwiedzających matkę nowo-narodzonego, przynosi jej w darze kilka jaj, któremi naciera zlekka twarz dziecka, życząc, ażeby była białą, czyli, ażeby przyszły człowiek nigdy nie potrzebował się runienić za swoje postęпки.

Gdy dziecię skończy pierwszy rok życia, osoba pozostająca w największej przyjaźni z rodziną jego, goli mu głowę, co jeszcze utwierdza zażyłe stosunki wzajemne tak dalece, że hańbą okryły się ten, ktoby podobnych węzłów nie uszanował. Postrzyżyny stanowią bardzo ważną uroczystość rodziną, której towarzyszy sute przyjęcie i są zwyczajem praktykowanym zarówno przez Chrześcian jak i przez Mahometan.

Chłopcy do lat ośmiu albo dziewięciu, dziewczęta do zamążpójścia pozostają pod wyłączną opieką matki. Szkół dla chrześcian niema pod rządem tureckim, z wyjątkiem jednej; istnieją tylko szkółki elementarne dla chłopców i osobne dla dziewcząt.

Koło lat czternastu kończy się wychowanie chłopca w tych okolicach gdzie istnieją szkoły, co zaś do mieszkańców zakątków górskich, ci uważają naukę za rzecz dobrą tylko dla ludzi zniewieściałych i od lat najmłodszych synów swoich zaprawiają do tego, żeby sami sobie wystarczali. Chłopczyk pasie trzody, dopomaga w pracy około roli, uprawia się do myśliwstwa i w ogóle twarde i czynne prowadzi życie.

Dziewczęta, te nawet które są wychowywane podług przepisów koranu, mogą wychodzić do lat dwunastu bez zasłony i uczyć się czytać i pisać w szkółkach elementarnych, utrzymywanych przez mużułmanki, doszedłszy do pełnoletności (lat 12) muszą się ukrywać w domu rodzicielskim i bywają widywane tylko przez najbliższych krewnych. Nie wychodząc nigdy z domu, szyją, haftują, wyrabiają jedwabne tkaniny, smarzą wyborne konfitury tak ogólnie używane na Wschodzie. Dziewczęta chrześcijańskie tak samo zamknięte są w domu po odebraniu nauki elementarnej w szkółkach prowadzonych przez zakonnice. Zwyczaj nie pozwalał im nawet uczęszczać na Mszę świętą, teraz dopiero zaszła ta zmiana, że wstawszy przed świtem, udają się do kościoła, dla wysłuchania unyślnie dla nich odprawianej Mszy i nauki katechizmowej, pdczem z pośpiechem wracają do domu, wystrzegając się, aby ich kto w drodze nie zobaczył. Góralki swobodniejsze od sióstr swoich mieszkających po miastach, są w zupełnej zależności od ojca a nawet od braci, którzy wyrokuja o ich losie i rozporządzają ręką siostry, otrzymując za danie przyzwolenia na jej małżeństwo sumę większą lub mniejszą, stosownie do opinii jaką się cieszy rodzina panny.

Najczęściej młodzi ludzie wcale się nie znają przed ślubem; kobiety z rodziny młodzieńca szukają dla niego żony, a jeżeli dziewczyna przyjmie swaty, narzeczony przysyła jej w darze różaniec, pierścień i inne drobiazgi.

Uroczystość weselna połączoną jest z mnóstwem ceremonii nader ściśle przestrzeganych. Zwyczaj wymaga, ażeby młoda małżonka przez pierwsze trzy dni po ślubie stała zupełnie nieruchomo, nie wolno jej ani mówić ani podnosić oczu. Usiąść może tylko podczas obiadu lub wieczerzy i to jeszcze osłaniając ją wtedy welonem, żeby nikt z obecnych nie widział jej jedzącej; zresztą dobrze wychowana panna na znak smu-

tku, że opuściła dom rodzicielski je wtedy tylko, gdy ją do tego zmuszą.

Milczenie zaś w czasie uroczystości weselnych tak dalece jest dla niej obowiązującym, że nawet przy ołtarzu, gdy ksiądz ją zapytuje, czy chce wziąć za męża człowieka, który obok niej klęczy, ona nie odpowiada sama, nawet głową nie porusza, tylko stojąca obok niej kobieta trzykroć pochyla na dół głowę panny młodej na znak przyzwolenia. Wszystkim zresztą tym obrzędem towarzyszą pieśni, których Albańczycy są wielkimi miłośnikami.

Na wzór Słowian południowych, zawierają także Albańczycy pomiędzy sobą węzły braterstwa, przyrzekając sobie wzajemną pomoc i opiekę. *Pobratim* wcielony do rodziny uważany jest za krewnego tak dalece, że zwyczaj zabrania mu nawet łączyć się węzłem małżeńskim z kobietami do tejże rodziny należąciami. Ceremonia „pobratania się” odbywa się także z wielką uroczystością: po wysłuchaniu Mszy św. i przystąpieniu razem do Komunii, pobratymowie zadają sobie w ramię lub palec niewielką ranę, z której krew zlewają do pubara, a po złożeniu wzajemnej przysięgi wierności, każdy wypić musi z niego po kilka kropel. Niema podobno przykładu ażeby podobne braterstwo, zostało zdradziecko zerwane; często nawet się zdarza, że dzieci pobratymów wspólnie się wychowują i całe życie trwają w związku zawartym przez rodziców.

Oddaniu ostatniej przysługi towarzyszy zwyczaj wyprawiania pogrzebowej stypy tak kosztownej, że nieraz mniej zamkniętych doprowadza do całkowitej ruiny. Z chwilą śmierci najbliższa rodzina natychmiast zawiadamia dalszych krewnych, przyjaciół, znajomych, i przysposabia się zaczyna do przyjęcia, zwanego *drek*. Kawa, mięso, wódka, są to niezbędne artykuły żywności, a wychodzą w tak znacznej ilości, że kilka sztuk bydła domowego idzie na rzeź dla spodziewanych gości; chleb tylko przynosi z sobą każda z zaproszonych rodzin. W dzień śmierci przybywają tylko na *drek* współmieszkańcy tej samej wsi, potem coraz to dalsi i zasiadają do stołów zastawianych coraz to świeżymi zapasami.

Przed ucztą i po niej odbywa się ceremonia opłakiwania i opiewania czynów i zalet zmarłego, tak zwany *dziam*. Zasada się ona na wydawaniu ponurych okrzyków, na ruchach mających wyrażać gwałtowną boleść, jako to: biciu się w piersi, drapaniu skromi i twarzy i t. p. Dzieje się to wszystko w niejakiej odległości od domu okrytego żałobą; zbliżywszy się doń powoli, żałobnicy stają w obecności zwłok, którym oddają głęboki pokłon dotykając ich czołem. „*Dziam*” mężczyzn trwa przez dni kilka; kobiety znacznie dłużej. Naoczny świadek tego obrzędu opowiada jak matka, która utraciła 19 letniego syna, udała się w parę dni po pogrzebie na cmentarz, niosąc w ręku odzież syna. Klęknąwszy o kilka kroków od grobu, czołgała się ku niemu na klęczkach, poczem zakrywszy sobie głowę chustką, rozpoczęła wraz z innymi kobietami żalospny, miarowy śpiew, którego treścią były pochwały zmarłego, ubolewania nad jego śmiercią, wyliczenie tego, czego dokonał i co mógłby być dokonać, gdyby go nie zabrała śmierć przedczesna. Nieszczęśliwa matka śpiewała:

„O jakże mię boli, mój synu,
Ze muszę cię dziś opłakiwać!
Biada mi, zem cię utraciła!
Nie ujrzę cię już nigdy więcej,
Nie odezwą się już do mnie słodkie twoje usta!
Nie wygnasz już na pastwisko twych kózek!
Nie zakosztujesz mięsa twych owiec,
Nie będziesz odtąd uprawiał naszego pola!
Zostawiłeś nas na pastwę smutku i boleści!
Niech czernieje pocisk który cię zamordował!
Niech czernieje ziemia, która ciebie kryje!”

Śpiewom jej towarzyszyły jak echo jęki innych kobiet, a gdy śpiewać przestała, każda z obecnych śpiewać zaczynała rzewnym głosem przymoty zgasłego młodzieńca, dopóki nie nadeszły inne, które znowu z kolei *dziam* odprawiać zaczęły.

(d. n.)

ARREPHORYE.

Wśród kolumn wielkiego Akropolu w Atenach *) przesunęły się lekkim krokiem cztery białe ubrane dziewczeczki, a za nimi króczył poważnie archont, to jest najwyższy urzędnik zarządzający miastem. Na młodzieńskich twarzyczkach dziewcząt nie igrał jednak wesoły, figlarny uśmiech, lecz osiadła powaga wiekowi ich niezwykła: Pirra, Dea, Irys i Paula, córki najpierwszych w Atenach rodzin, za swą pilność i uległość dla rodziców dostąpiły zaszczytu, iż miały przenieść len na szatę dla bogini Ateny, w którą na wielką uroczystość Arrephory, to jest wiosennego święta przybierano jej posąg. Szły więc przejęte wielką godnością, jaka je spotkała, a w duszy cieszyły się niepomału na zabawy podczas wypoczynku po pracy.

W jednym skrzydle wielkiego Akropolu oprócz komnaty w której dziewczęta pracowały nad ową szatą, sypialni dla nich i dozorującej kapłanki, była sala, gdzie mogły oddawać się ćwiczeniom gimnastycznym i rozmaitym grom ich wiekowi właściwym. Z sali zaś tej wychodziło się na ogromny dziedziniec, gdzie wśród pnących róż i cienia drzew laurowych mogły swobodnie oddychać świeżym powietrzem.

Praca i rozrywka wśród pieśni, to rzecz rozkoszna, teraz jednak, teraz nim się do niej wezmą trzeba zachować powagę!

— Oto jedenastoletnia Pyrra i ośmioletnia Dea, córki znakomitego Lezosa, a to dziesięcioletnia Irys i dziewięcioletnia Paula, dwie odrośle domu Hestesów. Polecam je waszej opiece—rzekł archont do kapłanki Diodomei, wchodząc do komnaty.

— Bądźcie pozdrowione, dzieci moje — odrzekła Diodomea, dotykając zlekka pochylających się główek przybyłych dziewcząt, potem zdjęła przejrzyste zasłony pokrywające ich twarzyczki i rzekła:

— Jesteście pod opieką Hersy, nie potrzebujecie osłaniać waszego lica, bogini czuwa nad wami.

Tymczasem archont spełniwszy swe posłannictwo, wolnym miarowym krokiem przesunął się wśród kolumn akropoliskich.

Dziewczęta zaś zostawszy z Diodomeą, śmieiej spojrzała po pełnej światła i wijącego się kwiecica około kolumn, komnacie. W głębi stał posąg Hersy bogini rosy i zasiewów, a tuż przed nią lampa ofiarna płonąca wonnym olejem, a po komnacie rozstawione były przęsłice z zatkniętym lnem białym; wrzeczona czekające na przędzę, iglice nawleczone cienkimi, złotymi niciami i krosna z nasnutą zaledwie przędzą i czekającą na pracowitą rękę czółenkiem.

Przy innych zaś pracowały już pilnie robotnice, przypatrujące się z pod oka przybyłym nowicyzkom.

— Przedewszystkiem pokłonić się trzeba bogini, aby pobłogosławiła naszą pracę—rzekła Diodomea.

Ustawwszy dziewczynki około posągu Hersy, sama za nimi stanęła i wyciągnawszy dłonie nad ich głowami, uroczystym mówiła głosem:

— O smętna towarzysko mądrej Ateny, błogosław pracę tych dzieci, niech szata przez nie utkana miłą będzie bogom ofiarą. Niech w serca i głowy tych dzieci spłyną łaski roztropności i pracy, a ofiara przez nie złożona, da obfitość chleba dla Aten.

— Dziewczęta w uroczystym skupieniu słuchały tych modłów, a poruszające się ich usta świadczyły, że nie tylko słuchają lecz i powtarzają wymawiane przez swą mistrzynię wyrazy.

— A teraz do pracy, moje małe:—zawołała Diodomea.

I krzątając się po komnacie, Pyrrę zasadziła przy przęsłicy, Irysie dała przędzę do motania na wrzeczonie; Paula

miała powierzone złote nitki do nawlekania w iglice, a najmłodsza Dea nawijanie lnianych nici na czółenka.

Drobne paluszki dziewcząt nie przyzwyczajone do tej pracy, z początku nieudolnie się do niej brały. Pierwszych dni robota szła bardzo powoli. Z czasem jednak nabrały wprawy i chyżo zwijały się przy niej, a Diodomea skracając im czas opowiadaniem o wielkich bitwach, świetności Grecyi i opiece bogów, jaką się zawsze cieszone.

— Nigdy jeszcze, nigdy głód, wybladłego lica nie pokazał w naszym kraju; dobroczynna Hersa w miarę zsyła krople dżdżu i rosy, ochraniając zasiewy od palących promieni słońca, a mądra Atena daje roztropność w używaniu wszelkich darów — mówiła Diodomea. — Nitki białej przędzy snuły się z pod paluszków Pyrry, furczało coraz szybciej wrzeczono w rączkach Irysy, Paula w drewniany, dziurkowany słuppek utykała nawleczone złotem igły, Dea przy krosnach układała nawinięte czółenka. Gdy promienie słońca coraz mniej zaczęły do komnaty zaglądać, Diodomea dawała znak zakończenia pracy, a dziewczęta szczebiocząc jak ptaki, chyżo wybiegały z pomiędzy kolumn, aby posilić się *anastotajami*, to jest ciastem umyślnie wypiekanem dla tkających szatę do przyodziania posągu Ateny, zjeść kilka fig, lub znakomitych granatów; a potem biegać w tysiącznych podskokach, rzucać obręczami lub piłkami, albo zataczać szerokie koła wielkimi kulami po ziemi.

I tak schodziły dni czterem dziewczętom: wśród pracy i zabawy zajmowała ich myśl wielka uroczystość zwana „Arrephorya”, mająca nastąpić zaraz w pierwszych dniach *skirophoriona* to jest czerwca.

— Czy nigdy żadna z dziewcząt nie wie, co dostaje w koszyczku w dzień wielkiego święta?—zapytała Pyrra.

— Niechaj Atene broni cię od tej ciekawości, ani ja, która wam rozdaje koszyki, ani te które je roznoszą, ani nikt ze śmiertelnych wiedzieć nie może, co się w koszykach znajduje—odrzekła Diodomea ze świętem oburzeniem.

A skąd się te koszyczki biorą?—pytała ciekawie Dea.

— Skąd? Skąd?—powtórzyły Paula i Irys, patrząc na swą mistrzynię.

— Skąd? Któż wie, kto je stawia, ha! pewno ktoś pobozny składa je w ofierze Atenie — odrzekła powoli Diodomea.

— Tak, niech was bogowie bronią od ciekawości; gdyby która z was spojrzała w głębię koszyczka, spadłyby nietylko na nią, ale na całą Grecyę straszne, dotąd niebywale kłeski—dodała po chwili kapłanka.

— Niech nas bogowie bronią — zawołały dziewczęta.

I wesoło pobiegły do habany, zapominając na chwilę o koszyczkach, które niebawem miały zanieść do świątyni w podziemiach Akropolu. Lecz w sercu Pyrry nurtuje ciekawość! Ach gdyby to można, gdyby można dowiedzieć się, co te kosze zawierają? I mimowoli rumieniec na jej lice wpływa. Ale nie, ona nie zajrzy do koszyka—nie, stokroć nie!

Nadszedł nareszcie dzień uroczystości, dzień drugi czerwca. Pyrra, Dea, Irys i Paula ubrane białe, w zasłonach przetykanych złotem, niosły szatę czyli peplos utkany przez siebie dla posągu Ateny.

Tłumy ludu wczesnym już rankiem zalegały podnóża Akropolu, każdy się ciśnie żeby być jaknajbliżej posągu Ateny i ujrzeć czy szata utkana w tym roku jest równie piękną jak lat minionych.

O tak! Peplos był misternie utkany! Najznakomitsi w Atenach mężowie cisną się, aby mieć zaszczyt obrzucenia nim posągu, bogini mądrości.

A oto u stóp jej złożono cztery drobne zamknięte koszyczki. Diodomea przystępuje aby je według dawnego obyczaju rozdzielić między cztery małe pracownice, czemuż jednak twarz jej pobladła, a ręce drżą nie śmiąc dotknąć ofiarniczych koszów.

Oto jeden z nich jest czarny!...

Jest żółty, czerwony, zielony, a zamiast błękitnego jest czarny!

Takiego ani za swego kapłaństwa nie widziała, ani opowiadanie o nim uszu jej nie doszło.

*) Akropol — wielki budynek, w którym mieścili się władze, twierdza, świątynia Pallas Ateny, oraz pawilony przeznaczone dla kapłanek.

Co robić, czy ukazać go ludowi?

Oh nie, tłum podniesie krzyk, obawiając się nieszczęść; woli bogów nie odwróci, taki znać kolor wybrali. Nie patrząc więc na otaczające ją dziewczęta, rozda je kosze i wśród śpiewów postępuje na ich czele, aby wskazać drogę do podziemia, gdzie miały złożone otrzymane kosze, a stamtąd przynieść inne aby je spalić na ołtarzu, ustawionym na cześć Hersy. Dziewczęta postępują śmiało, wtórując pieśni rozpoczętej przez Diodomeę, czemuż jednak głos jeden słumiony, a czasem bolesny odzywa się wśród tego chóru.

To Pyrra niosąc ów kosz czarny nie może wydobyć głosu, zamiast śpiewu, łkanie jej się tylko wrywa.

Wreszcie przy blasku pochodni wchodzą do podziemnej świątyni, aby zostawić przyniesione kosze, a zabrać zeszlórczne i oddać Hersie w ofierze. Chwila to ważna, wszak przyniesione miały oznaczać zasiewy, zabrane plon, z którego część na całopalenie składano opiekunce płodów ziemnych.

Weszły do świątyni. Każda z dziewcząt stawia kosz za wielką oponą i zabiera z pod niej inny.

I znów stosowne śpiewy, śpiewy radosne, boć rzuciły zasiew, a z plonem wracają! Każda z pod białej zasłony spogląda na barwę zabranego kosza, czy taką samą jak postawionego, czy inną ją bogi obdarowały. Migotliwe światło pochodni nie pozwala im dostatecznie tej barwy odróżnić, ale oto są już u wyjścia, słońce pełnymi blaski zalewa podwórzec świątyni i rzucając swe światło pozwala im ujrzeć dokładnie barwę zabranych koszów. Każda ma inny, Dea, Irys i Paula zawodzą radosne pienia; w płasach biegną do świątyni, za nimi wolniej jak weszła pierwsza, tak postępuje ostatnia Pyrra!

Dech w piersi jej zamiera; czy aby znów los nie kazał jej wyciągnąć koszyka czarnego.

Och, nie, kosz jej błękitny! A w miarę jak wynosi go na światło, i słońce obrzuca go swemi promieniami, błękitnieje jeszcze więcej; staje się podobny niebu, temu niebu Grecyi, które tak piękny widnokrąg nad nią roztacza; takimi cudnemi darzy blaski, zsyła w miarę światła, ciepła, deszczu i rosy, za co ziemia dostarcza zawsze owoców, żywiąc wszystkich jej mieszkańców.

— O Herso, o bogini! dziękuj ci, dzięki! — woła z przepełnionej radością piersi, a w duchu przyrzeka sobie, iż nigdy już zaciekać się nie będzie w tajemnice bogom tylko przystępne. Nigdy już zbytnią ciekawością, grzeszyć nie będzie. I Diodomea ciekawie na kosz spogląda i z jej piersi głos łagodniej i serdeczniej płynie, kosz czarny zginął, niechaj zginie na wieki, aby nigdy widmo głodu nie zawisło nad Grecyą. Ogień już płonie, ale nikt nie śmie wrzucić swych darów, póki dziewczice Hersy nie przyniosą tajemniczych koszów.

Wrzucają je nareszcie, a ogień jasnym płomieniem wznosi się ku niebu, dym wonny staje wielkim słupem ku górze, a potem rozchodzi się powoli, roznosząc jakąś woń rozkoszną, woń dojrzałych owoców. Przepowiednia niewątpliwa dobrych zbiorów i wszelkich wśród nich rozkoszy, jakimi nieba obiecuje darzyć Grecyą! I piękne ostatnie promienie słońca nie

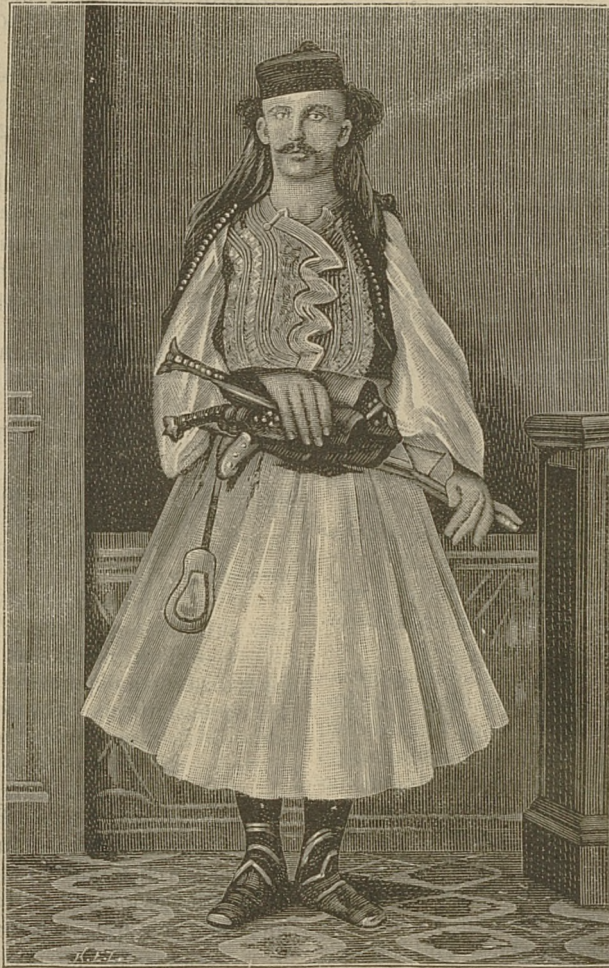
skryły się jeszcze za góry, a drugie nie utonęły w morzu, gdy wesołe pienia i zabawy kipiły życiem na Akropolu.

Nareszcie archont, który przywiódł dziewczęta na Akropol, oddał je rodzicom, życząc, aby pod ich okiem dalej w pracy i posłuszeństwie wzrastały, a potem stały się ozdobą Grecyi.

I oto skończone Arrephorye, to święto wiosny, lud rozszedł się uszczęśliwiony, wierząc w opiekę bogów, którzy ich ofiarę przyjęli.

A Pyrra, Dea, Irys i Paula, opowiadając młodszemu od siebie dziewczątkom o pobycie na Akropolu, w sercach swych zachowały piękne z lat dziecięcych wspomnienie.

Z. Morawska.



Albańczyk muzułmanin.

Z podróży do Pragi i Wiednia.

Na tem skończyliśmy odwiedzin Pragi i nazajutrz o jedenastej z rana, z żalem żegnałyśmy piękną Czech stolicę, udając się pospiesznym pociągiem do Wiednia. Droga ta jest bardzo malownicza. Przejeżdżaliśmy przez Kolin, pamiętny klęską zadaną Prusakom przez Dauna Pardubitz, nad Elbą, gdzie wznosi się góra skalista z malowniczymi zwaliskami zamku Kunetitz. Przejechawszy przez Chotzen, wjeżdżamy w dolinę bardzo górzystą, leśną i skalną: Stillen Adler, gdzie jest przekopany długi tunel. W Brandeis widzimy zwaliska zamku należącego niegdyś do „Braci Czeskich”. W Böhmisch-Trubau, podano nam obiad w wagonie. Jedziemy teraz doliną Zwitawy, przez kilka tuneli; doliną Adamsthal, skąd do Berna mamy aż sześć tuneli; przy trzecim widać zamek Nowyhrad. W Bernie piłyśmy wyborną kawę i przez Grusbach ruszyliśmy do Wiednia; jedziemy doliną Szwarzawy, Obrawy i Iglawy, przez dwa dosyć długie tunele; w tej dolinie zbudowany jest wiadukt na 23 metry wysoki. — Po drodze widzimy Rajgern, opactwo Benedyktynów na wysokiej górze. Napoleon I w r. 1805 pomieścił tu pod dowództwem marszałka Davoust'a całą swą rezerwę, tak zgubną dla Austryaków. W Lundenburgu, gdzie się krzyżują koleje, przejeżdżamy Thaję czyli Dyję, rzekę poboczną Morawy, odgraniczającą Austryę dolną i Morawę; w Hohenau widzimy pole Morawskie, Marchweld, gdzie Ottokar Czeski życie i koronę w bitwie z Rudolfem I Habsburgiem utracił, w r. 1278. Przejeżdżamy kilkakrotnie Morawę po granicy Austro-Węgier, w oddali zarysowują się już na widnokręgu Małe Karpaty czyli Bielawy. Przejechawszy Gänserndoff, Wagram, pamiętny zwycięstwem Napoleona I i Florisdorf, widzimy przed sobą Kahlenberg i Leopoldsb-berg, ostatnie kończyny Lasu wiedeńskiego, w oddali widać wieżę świętego Szczepana — to już Wiedeń, rzymska Vindobona! Wjeżdżamy wreszcie na most żelazny na Dunaju i pociąg nasz staje na Staatsbahnhof, o dziewiątej wieczorem.

Znam dobrze Wiedeń, gdyż byłam tu już kilka razy. Zwiedziliśmy wszakże nowe muzea cesarskie, które nas za-

chwycili; wejście do muzeum historyczno-artystycznego jest prześliczne. W salach parterowych są pomieszczone starożytności egipskie, jakoto: mumie, sarkofagi, bóstwa, małe bożki, naczynia i różne sprzęty domowe egipskie, pełne ciekawych rzeźb, dających wyobrażenie o cywilizacji Egiptu starożytnego. W dalszych salach znajdują się starożytności perskie, greckie, rzymskie, tudzież pamiątki z wieków średnich i wyroby nowożytne; są tu bardzo ciekawe średniowieczne rzeczy,

z Dolnego Belwederu, a niegdyś stanowiły muzeum w zamku Ambras, w Tyrolu, i dlatego zwano je w Wiedniu Ambraser-Samlung.

Między innymi jest tu bardzo ładna zbroja księcia Sierotki, cała emaliowana różnokolorowo i inna niebiesko szmelcowana, ze złoceniami, a także zbroja Ludwika II Węgierskiego, Jagiellończyka, który zginął w bitwie z Turkami pod Mohaczem w roku 1526; Mikołaja hrabiego Zrini, który także



Góry albańskie od strony Czarnogóry.

jako to: zegary, zegarki, wyroby ze szkła, drogich kamieni, kości słoniowej, obrazy mozaikowe, między nimi bardzo piękna posadzka, przedstawiająca całą historię Tezeusza.

W salach poświęconych numizmatyce znalazłam wiele ciekawych dla mnie monet, a między innymi grosze z 1333 r. i późniejsze bite talary z różnych czasów.

Oglądałyśmy potem wyroby artystyczno-przemysłowe. Następne zaś sale wypełnione są samymi zbrojami, bronią starożytną i ryszunkami wojennymi; zbiory te zostały przeniesione

śmierć poniósł w bitwie z Turkami, pod Szigetem na Węgrzech w r. 1566 i t. d. Są tu także zbroje japońskie, indyjskie, chińskie, tureckie, węgierskie i t. d.

Całe pierwsze piętro, zajmujące 46 sal z galerią obrazów, przeniesione tu z Górnego Belwederu.—Nadaremnie siliłabym się je opisać, gdyż byłoby to niepodobnem; wspomnę tylko o kilku obrazach, które mnie szczególnie zajęły; Rubensa: św. Franciszek Ksawery każący do Indyan i św. Ignacy Loyola, Van Dycka: chłopczyk z pieskiem. Ze szkoły nowożytnej,

prześliczny obraz Matejki przedstawiający sejm z roku 1773.

Na drugim piętrze są pomieszczone, akwarelle, rysunki i rzeźby. Między akwarellami znajduje się bardzo ładny obrazek Juliusza Kossaka: Jarnark na konie i Kozakiewicz: Wesele.

Muzeum historyczno-zoologiczne jest także bardzo ciekawe. Sale na parterze zapełniają zbiory mineralogiczne; widzimy tu przeróżne kamienie, stalaktyty i stalagmity, także sól z Wieliczki i Bochni, złoto, srebro, drogie kamienie; między tymi zbiorami znajduje się przepyszny bukiet zrobiony tylko z drogich kamieni, należał on do Franciszka I-go Lotaryńskiego, męża Maryi Teresy. Są tu także dwa bardzo duże aerolity.

Kilka sal zajmują zbiory geologiczno-paleontologiczne i przedhistoryczne zabytki, między innymi bardzo ładnie wyrobiony młot z rogu jelenia; brązowa miseczka z jeleniem wyrzeźbionym na wierzchu, hełm ze skóry i brązu znalezione w Krainie; bardzo wiele greckich i rzymskich hełmów, zbroi i oręży; jest także wiele pamiątek staro-słowiańskich j. t. urny, łzawnice i t. d. Tu są także zwierzęta przedpotopowe j. t. mamut, olbrzymi jelen, i t. p.

Są też zbiory etnograficzne t. j. staro-azyatyckie, chińskie, japońskie, perskie, kaukazkie, tureckie, arabskie, syberyjskie, z Karcu, Azji środkowej, z Indyi, Nikobarów, Sumatry, Jawy, Borneo, Ceylonu i innych wysp archipelagu Malajskiego. Dalej widzimy zbiory z Australji, Nowej Zelandyi i Polinezji, Ameryki północnej, środkowej i południowej, tudzież Afryki i wysp do niej należnych.

Całe pierwsze piętro zajmują zbiory zoologiczne. Są tam różne mięczaki, skorupiaki i owady, między którymi zauważyłam przeszliczne motyle i gasienice. Dalej napotyamy ryby, z gatunków znajdujących się w wodach monarchii austriackiej, a potem w wodach i morzach europejskich, azyatyckich, amerykańskich, afrykańskich i australskich. Na ścianach porozwieszane są rybie szkielety. Potem idą płazy i gady, różne gatunki żółwi, jaszczurek, olbrzymie krokodyle i kajmany, kameleony, bazyliuszki, legwany, smoki latające, przeróżne gatunki żab, tudzież ogromne węże, jak boa dusiciel, mający sześć metrów długości, owinięty na drzewie. W zbiorze ptaków widzieliśmy tu strusia, ptaka rajskiego, kolibrę, białe sowy, czerwonaka czyli flaminga, ibisa i t. d. Wśród zwierząt ssących są tu szkielety wielorybów, dalej delfiny, narwale, fok, morsy i t. p. Są tu także małpy: goryle, orangutany, szympany, pawiany i t. d. Niedźwiedzie brunatne, białe, czarne i szare, borsuki, sobole, bobry, lisy, wilki, szakale, lwy, tygrysy, rysie, żbiki, jaguary, lamparty, kanguru, różne gatunki zajęcy i królików, leniwce, pancerniki, mrówkojad, dziobaki, słonie, nosorożce, hipopotamy, tapiry, dziki, zebry, wielbłądy, dromadery, piżmowce, jelenie, nasze sarny, renifery, żyrafy, antylopy, kozy, koziorożce, kozice czyli gemzy, bawoły afrykańskie i indyjskie, żubry czyli bizony i t. d.

Drugie piętro zajmują zbiory botaniczne, lecz tu niestety nie byliśmy. Zeby dać wyobrażenie o wielkości tych gmachów, powiem tylko, że przestrzeń którą zajmuje każde muzeum z osobna wynosi: 10,778 metrów kwadratowych!

Bywałam codziennie w kościele św. Szczepana na mszy św., gdyż to jest nasz ulubiony kościół w Wiedniu; opisywać go nie będę, bo znany powszechnie, ale powiem tylko, że teraz po odnowieniu zrobił się jeszcze wspanialszy.

Byliśmy także w kościele Maria Stiegen, albo am Gestade zwanym, gdzie jest cudowny obraz Matki Boskiej, nieustającej pomocy.

Na placu Minoriten, wznosi się włoski kościół Minoritenkirche, gdzie jest sławny obraz mozaikowy, kopia obrazu Leonarda da Vinci, przedstawiający „Wieczerzę Pańską.” Oraz ładny grobowiec z białego marmuru włoskiego poety, Piotra Mestasio, zmarłego 1782 r.

Poszliśmy jeszcze do Parlamentu na posiedzenie Rady Państwa. Sala obrad jest przeszliczna, ozdobiona freskami i rzeźbami, ale akustyka bardzo zła, podobnie jak w sali sejmowej

we Lwowie, tak, że jak kto ciszej mówi, to prawie zupełnie nic nie słychać.

Widzieliśmy tu jeszcze jedną rzecz godną uwagi t. j. zbrojownię cesarską, remizę i stajnie. W zbrojowni są starożytne pałasze, luki, szable, strzelby, pistolety, pugiwały i t. p. W remizie różnego rodzaju karety, powozy, są tu także stare karety koronacyjne, a między innymi bardzo oryginalna Maryi Teresy i Napoleona I. W stajniach są przeszliczne konie, najbardziej podobała mi się klacz kasztanowata, wierzchowa cesarzowej, wielkie, kare konie, hiszpańskie i ośm koni siwych, z długimi aż do ziemi ogonami, które występują przy wielkich paradach dworskich.

Na tem kończę moje notatki z podróży, pozostawiła mi ona na zawsze miłe wspomnienia, którymi z przyjemnością dzielę się z czytelnikami Wieczorów Rodziny.

Jaskółka ze Sniatynki.

Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

Boleść młodego Franciszka po stracie rodziców była tem cięższą, że ze śmiercią ich sam został na świecie. Nauczyciel jego już nie żył, rodziny bliskiej nie miał, z dalszej nie znał nikogo, miłość dla rodziców czyniła dotąd zadość wszystkim potrzebom jego serca, w niej jednej ześrodkowywał wszystkie władze uczucia; gdy mu przedmiotu jej zabrakło, uczuł rozpaczliwą pustkę w życiu...

Przez trzy lata po śmierci rodziców, nie ruszył się młodzieniec z rodzinnego zamku, nie starając się wcale o zawieranie żadnych stosunków towarzyskich, nie mogąc się nawet odważyć na zawieranie znajomości z obcymi. Raz czy dwa tylko był w Bukareszcie, gdzie go powoływały ważne sprawy majątkowe, i po kilkodzielnym pobycie, wracał do domu czempredżej.

Egzystencja podobna nie mogła jednak trwać dłużej i młody człowiek uznał w końcu potrzebę szerszego widnokręgu niż ten, który ciasnem kołem opasywały mu góry rumuńskie; zapragnął innego życia.

Postanowił więc podróżować. Miał już wówczas lat dwadzieścia trzy przeszło; znaczny majątek pozwalał mu czynić zadość nowemu upodobaniu; pewnego więc dnia pozostał stary zamek pod opieką starych i wiernych sług domu i opuścił rodzinną okolicę. Zabierał z sobą Rocka, starego żołnierza rumuńskiego, który od lat już dziesięciu towarzyszył młodemu panu na wszystkie wycieczki myśliwskie i sam siebie ordynansem jego nazywał. Był to człowiek odważny i śmiały, ślepo do pana swego przywiązany, i życie za niego oddać gotów.

Młody hrabia miał zamiar zwiedzić Europę, bawiąc po kilka miesięcy w każdej stolicy i w każdym główniejszem mieście stałego lądu. Mniemał on, i nie bez słuszności, że wykształcenie swoje, bardzo dotychczas początkowe, uzupełni wiadomościami, zebranymi w podróży, której plan zawczasu sobie obmyślił. Na początek postanowił zwiedzić Włochy; znał bowiem dobrze język włoski od starego nauczyciela swego, i raz na ziemi włoskiej stanawszy, zabawił tam całe lat cztery, przykuty do niej urokiem tych wspomnień, w które tak jest bogata. Czas jakiś przebywał w Wenecyi, stamtąd udał się do Florencyi, z Florencyi do Rzymu, potem do Neapolu, znowu do Wenecyi powrócił, podziwiając porozrzucane tam skarby sztuki, których pięknnością nasycić się nie mógł. Pozostawały mu jeszcze Francya, Niemcy, Hiszpania, Anglia, mniemał jednak, że z większą dla siebie zwiedzi je korzyścią, gdy z wiekiem więcej umysłem dojrzejze, nigdy zaś silniej nie odczuje powabu starych miast włoskich jak teraz, gdy młodym jest jeszcze. W dwudziestym siódmym roku życia, przybył do Neapolu mając zamiar zwiedzić jeszcze Sycylię i po-

wrócić następnie do domu, gdy zaszły okoliczności, które wywarły wpływ stanowczy na dalsze jego losy.

Był on, jak powiada autor, namiętym miłośnikiem muzyki i nade wszystko śpiew przekładał, a podówczas właśnie w neapolitańskiej operze występowała śpiewaczka imieniem Stilla, która urokiem swego głosu czarowała słuchaczy. Zarówno jak z talentu słygnęła ona z zacnych duszy i serca przymiotów, a oddana zupełnie swej sztuce czuła się swobodną i szczęśliwą. Jednocześnie z przybyciem hrabiego Franciszka, znalazł się również w Neapolu podobnie zamilowany w muzyce cudzoziemiec. Nieznano jego nazwiska, lecz znajdował się na wszystkich operach i koncertach, wraz z nieodstępnym towarzyszem. Orfanikiem, uczonym chemikiem, który przy doświadczeniach naukowych stracił jedno oko i nosił z tej strony twarzy czarny plaster, nie dodający jej wdzięku. Nieznajomy cudzoziemiec był wysokiego wzrostu, włosy miał przypruszone siwizną, nos orli i szare, bystre oczy, świecące ponurym jakimś blaskiem. Śpiew Stilli wywarł na nim wrażenie wielkie, gdy go usłyszał poraz pierwszy i niezaniechał uczęszczania na wszystkie jej występy. Niestety, spokój zabobonnej włoszki został zakłócony odtąd, gdy ujrzała zwrócony na siebie wzrok obu przyjaciół; zdawało jej się, że w cudzoziemcu mianowicie widzi złego ducha, który przyniesie jej nieszczęście. Drżała i bladła, a parę razy nawet zasłabła i musiała śpiew przerwać. Gdyby nie to, że była samą na świecie i nie wiedziała co począć z sobą, byłaby z pewnością opuściła Neapol. W tem usposobieniu poznał ją Franciszek Telek, przedstawiony jej przez jednego z przyjaciół, a dowiedziawszy się o usposobieniu biednej artystki, postanowił ją wybawić z przykrego położenia. Nie było na to innego sposobu jak ofiarować jej swą rękę... Stilla przyjęła ją z wdzięcznością i niecierpliwie wyglądała chwili, w której zamieszkałszy w ojczyźnie narzeczonego, nie spotka już nigdy ponurego wzroku nieznajomego, napelniającego ją takim przerażeniem i grozą. Słynna wszakże artystka nie mogła porzucić sceny, dopóki nie ukończy seryi zapowiedzianych przedstawień. Ukrywała tymczasem pilnie swe zamiary na przyszłość, obawiając się aby im coś nie stanęło na przeszkodzie. Niełatwo wszakże zachować było w tajemnicy zmianę, jaka zająć miała w losach Stilli i w dzień jej ostatniego występu, teatr był przepelniony. Łożę wprost sceny zajął jak zwykle nieznajomy z towarzyszem swym Orfanikiem. Przysłuchiwał się śpiewowi Stelli, piękniejszemu jak się zdawało, niż zwykle... Nadeszła ostatnia scena w której bohaterka umiera... Stilla bladła i widocznie zdawała się tracić sił ostatek...

Nagle nieznajomy wychylił się z łoża, wlepiając w nią wzrok przenikliwy... Dostrzegł zapewne, że źle się czuła... Postać jego ponura oświecona lampą tysiącem, zdawała się być jakimś piekielnym widokiem. Stilla spotkała wzrok jego, poczem niby rażona gromem, zachwiała się i upadła... Hrabia Telek siedzący w pierwszych rzędach, pośpieszył jej z pomocą... lecz podniósł już tylko ciało bez życia...

Bazyliżkowe niby oczy nieznajomego zabiły artystkę chorą, na aneuryzm serca, w którym silniejsze wrażenia zgon przyspieszają.

Franciszek Telek bolał nad tem, że niezdolał ocalić Stilli, nieznajomy zaś zaraz po jej pogrzebie, opuścił wraz z Orfanikiem Neapol, zostawiając pod jego adresem następujące pismo:

„Skłaniając ją do porzucenia sztuki, zabiłeś Stillę, biada ci, hrabio Telek!”

Rudolf na Gorcu.

Nieznajomy był zatem nie kim innym, jak właścicielem tajemniczego zamku w Karpatach.

Strapiony śmiercią nieszczęśliwej kobiety, której nie mógł zapewnić upragnionego przez nią spokoju, młody hrabia z Teleku nie zważał prawie na tę groźbę, i gdy tylko ukończył swoje zajęcia w Neapolu, wyruszył z powrotem do kraju.

X.

W kilka dni potem, Franciszek Telek był z powrotem w Krajowie, starożytnej siedzibie swego rodu, gdzie lat pięć przebył w zupełnym osamotnieniu, nie wychylając się poza mury domostwa.

W chwili wszakże, kiedy się niniejsze opowiadanie rozpoczyna, młody hrabia opuścił zamek na kilka tygodni, uczynił to zaś na skutek nalegań wierne go Rocka, który bolał widząc, że młody pan jego dobrowolnie skazuje się na samotność i w niej wędnie, nie starając się szukać rozrywki.

W ułożonym przez obu planie podróży, na pierwszym stało miejscu zwiedzenie prowincji nadreńskich. Później może — obiecywał sobie Rocko — że młody hrabia zgodzi się ponownie przedsięwziąć podróż po Europie, przerwana przez smutne wypadki zaszłe w Neapolu.

Opuścił więc Franciszek Telek rodzinną siedzibę, tym razem jako turysta, z zamiarem odbycia niedługo trwać mającej wycieczki. Z wiernym służą i towarzyszem przy boku przewędrował równiny wołoskie, aż do podnóża niebotycznych wierchołków karpackich, przebyli przesmyki wąwozu Wulkanu, i przeszedłszy dolinę Maros, przyszli odpocząć we wsi Werście, w gospodzie *Pod królem Matyasem*.

Wiadomo, jaki był stan umysłów w chwili, gdy przybył do wsi Franciszek Telek i jak został wtajemniczony w niezrozumiałe wydarzenia, których Werst stał się widownią. Wiadomo także jakim sposobem dowiedział się przed chwilą, że zamek należy do barona Rudolfa Gorca.

Wrażenie jakie to nazwisko wywarło na młodym podróżnym, było zbyt jawnem, aby go nie zauważył tak sędzia Kolc jak i inni wsi mieszkańcy. To też Rocko chętnie wyprawilby do dyabła imci pana Kolca, który się z nim tak nie w porę wybrał! Trzeba było prawdziwego nieszczęścia, żeby Franciszek Telek zawitał tutaj właśnie, w sąsiedztwo tajemniczego zamku.

Młody hrabia milczał, a spojrzenie jego, błędzące po twarzach zebranych, aż nadto wymownie wyrażało wzruszenie, które daremnie starał się powściągnąć.

Sędzia i przyjaciele jego zrozumieli, że tajemniczy jakiś łącznik wiąże hrabiego Teleka z baronem na Gorcu, ale pomimo najżywiej obudzonej ciekawości, umieli jednak pohamować się i nie zadawali żadnych pytań w celu dowiedzenia się czegoś więcej. Kto wie, zostawili to sobie może na później.

Niewiele czasu upłynęło, a wyszli wszyscy z gospody, mocno zaintrygowani tym nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności, nic dobrego nie zapowiadającego wiosce. Teraz bowiem, gdy młody hrabia dowiedział się już, do kogo należy tajemniczy zamek, czy można było liczyć na to, że obietnicy swojej dotrzyma? Czy przybywszy do Karlsburga, uprzedzi władze o tem co się tu dzieje i pośrednictwa ich zażąda? Pytanie powyższe zadawał sobie sędzia a z nim razem nauczyciel, doktor Patak i inni. Na wszelki zaś wypadek, choćby tego uczynić nie miał, sędzia uczynić to postanowił. Tak! uwiadomi o wszystkim policję, która odwiedzi zamek, przejrzy go, i przekona się czy w zamku mieszkają duchy, czy też ukrywają się tam złoczyńcy, wioska bowiem nie może pozostać dłużej w tak srodze dręczącej niepewności.

Coprawda, podług większej części mieszkańców, będzie to usiłowanie daremne, środek zupełnie bezskuteczny. Przeciwno duchom policja? Ależ pałasze żandarmów prysną jak szkło, karabiny za każdym wystrzałem spalą na panewce!

Franciszek Telek, sam zostawszy w wielkiej izbie *Pod królem Matyasem*, puścił wodze wspomnieniom, które wywołało tak niespodzianie wymówione nazwisko barona Gorca.

Z godzinę może przepędził w fotelu, nieruchomy, cały w myślach pogrążony, aż wreszcie wstał, opuścił wielką izbę i wyszedłszy na taras, wzrok w dal zapuścił.

Na stoku Plesy, której zakończenie stanowiło płasko-wzgórze Orgall, dźwigał potężne swe mury tajemniczy zamek górski, siedziba człowieka, który w nieszczęśliwej Stilli wzniecał tak nieprzewycięzoną bojaźń.

Teraz jednak zamczysko pustką stało; baron Gore nie pokazał się w niem od czasu jak uciekł z Neapolu. Nie wiadziano nawet co się z nim dzieje: możebną było nawet rzeczą, że już życie zakończył.

Błądził tak myślą Franciszek wpośród najróżnorodniejszych przypuszczeń, nie wiedząc przy którym się zatrzymać. Z drugiej znów strony przygoda Nikona niepokoiła go i dużo dawała mu do myślenia; radby mózdz zbadać zagadkowe jej przyczyny, choćby dlatego aby uspokoić ludność Werstu.

To też, ponieważ młody hrabia nie wątpił, że złoczyńcy jacyś obrali sobie schronienie w zamku, postanowił więc, dotrzymując danej obietnicy, nie dać broić dłużej mniemanym upiorom i o bytności ich zawiadomić policją Karlsburgu. Żeby jednak mózdz działać skutecznie Franciszek zażądał bardziej szczegółowych o całym zdarzeniu wiadomości. Chcąc je otrzymać, najlepszą było drogą zwrócenie się po nie do leśniczego właśnie i dlatego też, około trzeciej południu, zamiast powrócić do gospody, zjawił się młody panicz w domu sędziego.

Imci pan sędzia Kolc niewymownie czuł się uszczęśliwiony, że spotyka go zaszczyt... „Przyjęcia w skromnych progach tak wielkiego pana jak hrabia Franciszek Telek... potomek jednej z najszlachetniejszych rodzin rumuńskich... któremu wieś Werst zawdzięczać będzie odzyskanie spokoju... a także i dobrobytu... ponieważ turyści znowu zwiedzać zaczęły okoliczne góry... i opłacać myta... nie lękając się dłużej szkodzących ludziom istot... które w zamku tajemniczym...”

Franciszek Telek cierpliwie wysłuchawszy powitalnych komplementów sędziego, pięknie za nie podziękował, poczem spytał, czy się nie sprzeciwia jego odwiedzinom u chorego Nikona.

— Nic a nic, panie hrabio — pośpieszył odpowiedzieć sędzia. Pocciwy Niko jest już prawie zupełnie dobrze i niezadługo znowu pełnić zacznie swoje obowiązki.

— Nieprawdaż, Marioto? — Dodał, zwracając się do młodej dziewczyny, która w tej właśnie chwili wchodziła do bawialni.

— Dałby to Bóg, mój ojczc — wzruszonym głosem odparła Mariota.

(d. c. n.)

SZARADA.
przez E. M.

Wprost nam po długiej zimie
Rzuca na zieleń kwiaty;
Wspak, ludu Czudzkiego imię
Co żył w Finlandyi przed laty.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.

Szurady: Mu -- rad.

ŁamigłóWKI w trójkacie:

F l a m m a r i o n
L a n g e l a n d
A c h i l l e s
M i n e r w a
M i k a d o
A l i a z
R o s a
I l i
O n
N



Rozbite zwierciadło.

Rycina nasza przedstawia przestraszoną służącą, która spostrzegła, iż malarze odnawiający pokój, rozbili zwierciadło.

— Co też powie na to pani?

A malarze, sprawcy złego, śmieją się zadowoleni ze swego figla.

Nacieszywszy się jej zakłopotaniem, proszą jej teraz, aby im pozwoliła naprawić szkodę. Jeden z nich bierze kawałek wilgotnego gałganka i pociera nim rozbite miejsce.

O cudo! Rysy znikają w jednej chwili, służąca nie wierzy swoim oczom, dotyka zwierciadła. Całe zupełnie. Ci malarze, to pewno jacyś czarodzieje.

Jeżeli ktokolwiek z nas zechce być takim samym czarodziejem, i zażartować sobie niewinnie, niech weźmie kawałek mydła, (najlepiej szarego) i nakreśli nim na powierzchni zwierciadła delikatne, rozbiegające się linijki, które będą do złudzenia naśladowały rysy pochodzące z rozbicia, odbijając się i rozszerzając pozornie w głębi szkła. Ślady mydła, naśladowują wybornie pęknięcia, a mogą być zmyte w każdej chwili wilgotną gąbką.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TRĘŚĆ: Roślina śnieżna (z drzew.) — Albania (z drzeworytami). — Arrephorye p. Z. Morawską. — Z podróży do Pragi i Wiednia (dokończenie). — Tajemniczy zamek. — ŁamigłóWKI i rozwiązania. — Rozbite zwierciadło (z drzew.) Dodatek: Bez matki p. Annę Załęską (z drzew.) Niegrzeczny Lutek, wiersz p. Helenę Bojarską. — Rozmowa z wujaszkiem. — Strachy w lesie p. Maryę Weryho. — Figlarz, komedyjka w dwóch aktach p. S. R. — ŁamigłóWKI i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W krainie Gwebrow, Andrzeja Laurie przekład T. P.

WIECZORY RODZINNE.



BEZ MATKI.

— Och! jakie śliczne! Jakie maleńkie!
— Zaledwie pierwszy puszek je okrywa!
— A jak się boją biedne ptaszyny! Drżą od zimna i strachu. Żal mi ich.
— To pewnie gniazdko jaskółcze! Patrzcie, jak misternie ulepione z gliny, jak starannie wystłane słomą, a po wierzchu perzem.
— Mama tych ptaszków bardzo dobrą być musi, kiedy tak troskliwie usłała łóżeczko dla swego drobiazgu?

Te i tym podobne uwagi robiła gromadka dzieci, otaczająca zbitą masą ośmioletniego Janka, który przed chwilą przyniósł jaskółcze gniazdko, zrzucone z dachu ręką pracującego przy domu murarza.

— Co my zrobimy z temi piskletami? Wszak one głodne być muszą? — Rzekła starsza nieco dziewczynka, o żywych oczach, które zawsze gotowe były uronić łzę współczucia dla wszelkiej niedoli.

— Ja mam śliczną malowaną klatkę — rzekł Jurcio — wstawmy do niej gniazdko. Klatka duża, ptaszkom tem będzie wygodnie.

— Ja codzień przyniosę im cukru — zawołała mała Hanka.

— A ja słodkiej bułeczki... z rodzenkami!

— A ja im codzień postawię świeżej wody w ślicznej kryształowej miseczkę.

— Ach, jak im dobrze będzie u nas! Krzywdy im zrobić nie damy i bronić będziemy od wszelkiego nieszczęścia.

— I to będą nasze własne ptaszki. Jak to przyjemnie!

Dzieci skakały z radości, twarzyczki ich promieniały w wesołym uśmiechu.

Wśród całej szczęśliwej gromadki, jeden tylko starszy już chłopiec, dwunastoletni Jacuś, ręce trzymając w kieszonkach mocno wytartej bluzki, patrzył poważnie, ze smutkiem nawet na małe gniazdko jaskółcze. Twarzyczka jego blada była; w oczach widniał ból i tęsknota

— Ot, biedne sierotki! — rzekł nagle — biedne sierotki! gdzie wasza matka, gdzie ojciec się podziewa?! — Dzieci ucichły i spojrzwały pytającym wzrokiem. — Takie jesteście malutkie, a już los okrutny srogo się z wami obszedł. Ludzie biorą was w opiekę, myśląc, że wam szczęście zapewnią, zamykając w pięknej klatce, was, co do latania stworzone jesteście. Biedne ptaszki, wam nic nie zastąpi straconej swobody, rodzinnego gniazda, nic nie nagrodzi braku matki, która was pewnie teraz szuka nadaremnie w miejscu, gdzie było dotąd wasze mieszkanie, gdzieście razem spędzili pierwsze dni waszego dzieciństwa i z jej ust przyjmowały przyniesione ze świata pożywienie. A teraz!... samotne jesteście, bez opieki rodzicielskiej, sieroty opuszczone... jak ja!

— Biedne, biedne ptaszki! — zawołały wtedy wszystkie razem dzieci, na które słowa Jacusia ogromnie smutne zrobiły wrażenie. — Nie chcemy żebyście były tak nieszczęśliwe, jak nasz Jacuś sierota, nie chcemy, żeby mama wasza dłużej kwiliła żałośnie wśród krzaków, szukając was nadaremnie. — Janku, zaprowadź nas tam, skąd wzięłeś gniazdko. Poprosimy murarza, żeby je przylepił do tego samego miejsca, skąd spadło. Niech te miłe ptaszyny nie doznają sierocej doli, która jest największym ze wszystkich nieszczęściem.

Anna Załęska.

NIEGRZECZNY LUTEK.

Staś, Adaś, Helenka i mały Janeczek,
Bawią się wesoło, ładnie i bez sprzeczek,
Lecz niechno się Lutek między nich dostanie,
Powstaną wnet skargi, płacz i narzekanie,
Bo Lutek każdemu coś powie niebacznie,
I zaraz to kłócić, to spierać się zacznie.
Każdy go też za to omija, unika,
Bo któżby mógł lubić takiego chłopczyka?
Lecz on się poprawi, o! poprawi przecie,
By mu źle i smutno nie było na świecie.

Helena Bojarska.

ROZMOWA Z WUJASZKIEM.

IV.

— Powiadam ci — mówił do brata Miecio — że najlepszy zegar w Warszawie jest na ratuszu.

— A ja ci mówię — odparł Kazio — że na kolei; tam przecież wszystko musi być obrachowane co do minuty, bo gdyby np. zegar się spóźnił, mogłyby być wypadki przez spotkanie się pociągów. Ale otóż i wujaszek nadchodzi, on najlepiej wiedzieć będzie który z nas ma słuszność, i Kazio powtórzył to, co mówili.

— A wiecie — rzekł nie odpowiadając na pytanie wujaszek — jaki zegar jest lepszy od wszystkich innych.?

— Jaki? — spytali.

— Ten, który każdy z was ma w swej głowie.

Bracia spojrzeli po sobie z niedowierzaniem, pewni, że wujaszek z nich zażartował.

— Widzę, że mnie jeszcze nie rozumiecie, ale zrozumiecie pewno, gdy się zastanowicie zechcecie nad tem co mówię. Otóż, pomimo umiejętnej swej budowy, wszystkie zegary nie przedstawiają prawdziwego wymiaru czasu, oznaczają go bowiem, jakgdyby chodził zawsze jednakowo, gdy są godziny które biegną tak szybko jak minuty, a znowu minuty wlokące się równie długo jak godziny. Czy np. gdy wśród wesołej zabawy zawołam was do lekcji, nie zdarzyło wam się nieraz powiedzieć: jakto, czy już czas?

— Prawda, ale przecież to nie wina zegara?

— A skoro czekacie na coś lub na kogoś, albo gdy wam coś dolega, czyż nie zdawało wam się wtedy, że wskazówki zegara posuwają się bardzo powoli, i czy nie myśleliście sobie: ach! jakże ten czas się wlecze!

Widzicie zatem, że są dwa zegary: jeden zwyczajny widoczny, drugi ukryty wewnątrz was samych. Dobrze byłoby, aby je zregulować tak, żeby zawsze jedną ozna- czały godzinę, wszak prawda?

— Tak, ale to byłoby niepodobnem? — rzekł Kazio.

— Bynajmniej, od nas bowiem samych zależy, zając sobie czas tak, aby nam się nie wydał nigdy zbyt długim. Mniejsza już o to gdy biegnie szybko, bo wtedy nam się nie uprzykrza, powiedzcie mi więc, jak sobie czas skracać należy?

— Zabawiając się — rzekł Micio.

— Niekoniecznie, bo zabawy częstokroć wyradzają przesyt i znużenie. Najprędzej nam czas upływa gdy pracujemy pilnie i gorliwie. Praca zajmując umysł skraca nawet długie chwile smutku i cierpienia. Starajcie się więc zawsze zając czemś pożytecznem, a czas nie wyda się wam nigdy zbyt długim i przekonacie się, że posiadacie najlepszy zegar na świecie, nie dający się porównać z żadnym innym. Co zaś do zegarów o których akur- ratność pytaliście, żadnemu z nich nic zarzucić nie można.

STRACHY W LESIE.

W małym domku leśnika panowała zupełna cisza: leśnik wyszedł przejrzeć las, a żona jego nie wróciła jeszcze z pobliskiego miasteczka, gdzie miała kupić soli, mąki i innych zapasów potrzebnych w gospodarstwie. W chacie pozostała tylko dziesięcioletnia ich córka Małgosia. Krzątała się ona żwawo, by rodzicom których niebawem się spodziewała w powrotem, przygotować wieczerzę. Rozpaliła więc ogień na kominku i przystawiła doń kociołek z wodą, a na stole zasłanym czystą, chociaż grubą serwetą ustawiła: sól, chleb, łyżki i tale- rze; poczem zadowolona szepnęła:

— No, teraz to już matula i tatuś nadejść mogą. Usiadła przy oknie i wyglądała czy nie nadchodzą. Lecz długo tak siedziała, ściemniać się już zaczynało, a niko- go na ścieżce widać nie było. Małgosia poczęła się nie- pokoić, to wybiegała na ganek, to znowu wracała do izby. Wtem dolatują ją jakieś niewyraźne jęki z lasu, nadśłuchuje uważniej, tak, oczywiście, ktoś jęczy lub ra- tunku woła.

Jezus, Marya! myśli Małgosia, cóżby to być mo- gło? Może jakie nieszczęście ojca spotkało! Czytała ona nieraz o zbójcach, którzy się w lesie ukrywając, napadają, rabują, a nawet zabijają ludzi, zimno ją prze- jęło, gdy o tem pomyślała.

A-hu! a-hu! doleciało ją znowu. Strasznie już teraz przerażona dziewczynka, chciała iść do drzwi, lecz taka obawa ją opanowała, że ruszyć się z miejsca nie mogła. Tymczasem zupełnie już noc zapadła, a Małgosia sie- dząc przy stole ukrywszy twarz w dłoniach, płakała i drża- ła cała; nie zauważyła nawet, że ogień na kominku wygasł, i że trzeba było światło zapalić. Bo jakże tu myśleć o czemkolwiek, gdy tam za oknami rozlegają się ciągle te straszne głosy: A-hu! A-hu!... słychać jakby tentent koni, uciekanie, wołanie ratunku... Tak, teraz już jest pewną, że zbójcy zabrali jej ojca i matkę, a teraz idą zrabować dom i pewnie ją zabiją. Naraz słyszy wyraźnie tuż poza oknem głosy ludzkie i rozmowę, więc prawie bezprzy- tomnie szepcze: Już... już... nadchodzą — mój Boże!... Słyszy jeszcze ciężkie stąpanie po wschodach, gwałto- wne naciśnięcie klamki i... Ach, ja nieszczęśliwa! woła dziewczę i pada na ziemię nieprzytomna.

— Co się to stało — pyta troskliwie matka Małgo- si, wchodząc do izby — co ci to jest dziecko moje?

Ojciec tymczasem zapaliwszy światło, podniósł z ziemi zemdloną dziewczynkę którą matka cuci zimną wodą i tuli do siebie, nie rozumiejąc coby się jej dziecku stać mogło.

Powoli Małgosia uspokoiła się nieco widząc rodzi- ców przy sobie, i wkrótce opowiedziała im swoje obawy: co się jej zdawało i czego się tak bardzo lękała.

— Nic dziwnego, dziecko moje — rzekł ojciec — żeś słyszała rozmowę za oknem, niedaleko bowiem do- mu, spotkaliśmy się z matką i idąc razem, rozmawiali- śmy z sobą, a gdym otwierał drzwi to zdawało ci się, że to zbójcy idą! Ha, ha, ha! — śmiał się ojciec — to z cie- bie zuch dziewczyna! Od czasu jak mieszkam w tym lesie i o różnej chodzę porze, nigdy jeszcze żadnego nie spotkałem zbójcy.

— A co znaczyły te krzyki i jęki po lesie? — spytała jeszcze Małgosia.

— To ci się pewnie z wielkiego strachu zdawało — odpowie ojciec. Gdy jednak tych słów domawiał z za okna doleciał ich głos: A-hu! A-hu!

— A co, słyszycie? — pytało dziewczę trwoźnie.

— Więc to ten głos napędził ci takiego strachu! — roześmiał się ojciec. — Chodź ze mną, pokażę ci zaraz tego zbrodniarza.

Noc być jasna, więc dobrze wokoło rozejrzeć się było można. Na dachu domku leśniczego siedział puszczyk i wciąż powtarzał swe przeraźliwe wołanie: A-hu! A-hu!

Teraz już reszta obawy opuściła Małgosię, przekonana się bowiem naocznie, że nie było czego się lękać, wkońcu nawet śmiała się sama z siebie. Długo jednak pamiętała przygodę z puszczikiem, która ją oduczyła wszelkiego niepotrzebnego strachu.

Marya Weryho.

FIGLARZ.

KOMEDYJKA W 2-CH AKTACH.

przez S. R.

(Dokończenie).

AKT II.

(Ignas i Nisia na przodzie sceny z książkami w rękach, półgłosem lekce przepowiadają, w głębi chodzi Marynia i Waluś, także półgłosem się uczą).

ZOSIA (składając na stole książki z rozpaczą). Już nic nie pomoże! Za godzinę ma nauczyciel przybyć! przepowiedzieć całej arytmetyki nie mogę!

IGNAŚ. Wstyd będzie wielki! Może Jaś zawiedzie — może nie przybędzie — bo jakoś nie nadchodzi.

MARYNIA. Żleśmy zrobili!... te tańce wczorajsze. Jaś zawsze do złego namówi.

WALUŚ. Alboż to źle tańczyć?

NISIA (rozpaczliwie). E! Waluś zawsze daje takie pytania, bo nic nie rozumie. Tańczyć źle nie jest, ale...

IGNAŚ (przerywa, pokazując na zegar). Patrz! już dziewiąta godzina, Jasia jeszcze niema, a oto egzamin, co my poczniemy!

DZIECI. O ten Jaś niepocziwy! (fotel stojący w kącie pokoju raptem od ściany się odsuwa, z poza niego wyskakują Jaś na środek pokoju).

JAŚ. Właśnie, że pocziwy; ukryłem się żeby wysłuchać co o mnie powiecie, a teraz szybko do roboty. Stańcie rzędem, tak, niedaleko portyery, ja stanę za portyerą o co tylko profesor zapyta, zaraz podpowiem i będzie egzamin cudowny!

MARYNIA. A jak podpowiadanie posłyszysz?

JAŚ (machając ręką). I na to dam sobie radę! bądźcie spokojni! Trzymajcie się tylko blisko portyery (dzieci uspokojone ścisną Jasia. Słychać poza drzwiami kroki nau-

czyciela, dzieci niespokojne biegają po scenie, Jaś ukrywa się za portyerą, nauczyciel wchodzi, dzieci go witają).

NAUCZYCIEL (siadając). No! kochane dzieci, nadszedł dzień egzaminu, dziś wasze główki wystawię na próbę... nagrody ze sobą przyniosłem, bo spodziewam się, że na nie zasłużycie, a teraz stańcie rzędem i zaczynajmy! (Dzieci ustawiają się w scieżnionym szeregu przed portyerą, nauczyciel zwraca pytanie do Nisi). Powiedz mi Nisiu, kto odkrył Amerykę?

NISIA (waha się i nogą trąca portyerę).

NAUCZYCIEL. Któż odkrył Amerykę?... Kto?... no, któż?...

JAŚ (podpowiada). Kopernik.

NISIA (głośno). Kopernik (Profesor notuje coś w pugilaresie).

NAUCZYCIEL. A gdzieś to wyczytała?

NISIA (nieśmiało). W... w... geografii.

NAUCZYCIEL. W jakiej.

(Nisia zakłopotana porusza portyerą).

JAŚ (cicho). Pana profesora.

NISIA (głośno). Pana profesora.

NAUCZYCIEL. Hm! a gdzie się ten Kopernik urodził?

WALUŚ (przerywa). Ja wiem.

NAUCZYCIEL. No, gdzie?

WALUŚ. W cukierni.

(Dzieci w śmiech).

NAUCZYCIEL. Dla czego?

WALUŚ. Bo ojciec mówił, że tam gdzie robią pierniki...

NAUCZYCIEL. Urodził się stąd bardzo niedaleko... Zosiu, gdzie się urodził?...

ZOSIA. Bardzo niedaleko, (trąca portyerę).

JAŚ. W Zębowie.

ZOSIA. Wiem! W Zębowie.

NAUCZYCIEL. Ale coś mi się zdaje, że z za portyery ktoś podpowiada, (wstaje powoli, zbliża się do portyery, tymczasem Jaś drzwiami cichaczem ucieka, dzieci w strachu).

NAUCZYCIEL (podnosi portyerę). Niema nikogo... (wraca). Hm! to złudzenie (siada). A cóż to za jeden był Kolumb? Powiedz mi Ignasiu.

IGNAŚ. Kolumb... O! pamiętam panie profesorze! był on w Hiszpanii... trochę zapomniałem... Wtedy właśnie, kiedy najechali Hiszpanię ci... (kręci się niespokojnie) jak to się nazywa...

JAŚ (wsuwa się cichaczem). Hotentoci.

IGNAŚ. Hotentoci najeżdżali Hiszpanią.

NAUCZYCIEL. Co mówisz?

IGNAŚ (zmięszany). Wtedy Kolumb z ogromnym wojskiem ruszył i pobił ich pod...

JAŚ (podpowiada). Pod Warszawą, w Łazienkach.

IGNAŚ. W Łazienkach pod Warszawą.

NAUCZYCIEL. Niema co mówić, ślicznie poszedł egzamin. Nie miną was zasłużone nagrody! Otrzymacie je natychmiast i pokażecie rodzicom. Chodźcie ze mną do pokoju gdzie są przygotowane.

(Nauczyciel wychodzi, dzieci za nim, Jaś wybiega z za port-

JAŚ (sam). Co to za nagrody nauczyciel im myśli udzielić? Jestem trochę zaniepokojony. E... kochany nauczyciel może jeszcze wszystko wybaczyć... Widzę sam teraz, że źle zrobiłem, za mnie mogą jeszcze karę otrzymać... *chodzi niespokojny zastaniając twarz rękami. Po chwili drzwi się otwierają, wchodzą zapłakane dzieci z których każde ma przypiętą na piersi, niby order kartkę z złotego papieru, z napisem czarnymi, dużymi literami: Nic nie umiem (za niemi idzie nauczyciel).*

NAUCZYCIEL (*wskazując na karty które mają przypięte*). Oto nagroda za waszą pilność w pracy; ażeby była dostateczną, poproszę tu zaraz rodziców.

JAŚ (*rzucając się na kolana przed nauczycielem, mówi błagalnie*). Panie! to wszystko moja wina, ukarż mnie najstrożej, ale im wstydu nie czyni przed rodzicami; niewczesnym figlem tyle narobiłem złego, teraz odpokutować pragnę wszystko.

NAUCZYCIEL (*poważnie*). Prawda, że figiel był niemądry, ale na ten raz wybaczam go, ponieważ czujesz twą winę i żałujesz za nią. Mam też nadzieję, że odtąd będziesz zachęcał młodsze rodzeństwo, aby się stało pociechą rodziców, nie zaś powodem ich zmartwienia.

JAŚ. O tak panie profesorze, nigdy już, nigdy nie podobnego nie popełnię!

DZIECI (*razem składając ręce*). A my panie profesorze odtąd uczyć się będziemy, o ile to jest w naszej mocy najlepiej.

(*Zasłona spada*).

SZARADA.

od Niezapominajki z nad Warty dla Julka P.

Wspak pierwsze — litera,
Drugie w alfabecie,
Część mowy zawiera
To ostatnie trzecie.
Gdy wszystko zbierzemy
Egiptu króla znajdziemy.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go.

Homonimu: M u ł.

Lamigłówki sylabowej:

1. NureK. 2. EvorA. 3. RurorT. 4. OrinokO. 5. NiemeN.
Neron — Katon.

Skrzynka do listów.

Kochana dziewczoja na pożegnanie jakby się w kupić chciała w pamięć naszą, obdarza tak hojnie swoją pracą ubogą działwę. Bóg zapłać i niech ci Bóg szczęści; szczerze żałujemy, że tracimy tak pilną uczestniczkę naszych konkursów.

Żądaniu **Wicia B.** z przyjemnością zadość czynimy, ale dlaczego kochany nasz korespondent adresuje do... drukarni? Wpra-

wdzie blisko z nią bardzo sąsiadujemy, ale zawsze jest różnica adresu, która bywa nieraz przyczyną pomyłek.

Błada Różyczko, spełniłmiś twoje życzenie; jak zawsze tak, teraz chętnie to czyniąc dla wszystkich naszych czytelników.

Nie, **Gospośiu taty,** jeżeli nudzą nas czasem pytania zadawane przez prostą ciekawość, to niema obawy, aby „znudził” nas list takiej pracowitej, serdecznej dziewczynki, która przysłała nam na kolonie letnie pieniądze zarobione własną pracą. Podziękowanie za to należy się również i twoim braciszkom: **Maćkowi Pod. i Krzemieniowi z nad Sm;** za co chyba największa część zasługi przypada „Mamie”. Praca nie poszła na marne, bo takich dzieci powinno szanować: Pani, za życzliwe wyrazy serdeczne dzięki składamy.

Nic dotąd nie wiemy o Janku sierocie, o którego losach dowiedzieć się pragnie **Cyklista z nad P.** Autorami najstosowniejszym, dla brata Cyklisty będą; **Mayne-Reid, J. Verne, A. Laurie,** z naszych, **M. J. Zaleska i Umiński;** **Sienkiewicza** wreszcie powieści historyczne, jeżeli umysł jest już przygotowany do ich czytania odpowiedniemi w tym kierunku studjami.

Rosiczkę z nad Rowu, pozdrawiamy serdecznie; szczerze pragniemy aby przez oddalenie nie zerwała się ta nić sympatyj, która nas dotąd łączyła z pracowitą i myślącą dziewczką. Czy zobaczymy się po wakacjach? Co tam porabia młodsze rodzeństwo? **Córa Mazurów** poświęciła się znać cała siostrzyczce, skoro znaku życia nie daje. Dawniej, o ile pamiętamy, częściej nawiedzała nas listkami.

A, więc nie zapomnialiś o mnie, **Czarna Peretko?** Listy twoje sprawiają mi niewymowną przyjemność: tyle w nich serca, tyle myśli, głębszego zastanawiania się nad życiem. Pytasz: co robić masz droga moja, po skończeniu nauk. Matka, czynna i skrzętna gospodyni, pomocy twojej nie potrzebuje, rodzeństwa młodszego nie masz. a chciałabyś przecie czemś się zająć, bo czytać i grać po całych dniach niesposób, szyc niezawsze jest co, a do szydela i kanwy nie czujesz specjalnego zamiłowania. Odpowiem ci słowami rady, podanej paniąkom w twojem położeniu przez doświadczoną i światłą osobę, p **Z. Morawską.** Artykuły jej, umieszczone w ostatnich numerach Tyg. Ilustr. i Kroniki Rodz. zawierają wskazówki mogące ci służyć za odpowiedź.

Może jednak pism tych nie czytujesz, powiem ci więc w krótkości, że paniąkom w twojem położeniu doradza p **M.** zajmowanie się pszczerarstwem, hodowaniem ziół lekarskich i przyjemnem układaniem bukietów makartowskich, do których materyał znajdzie się na naszych łąkach i polach, trzeba tylko umieć go zużytkować i umieć się z nim obejść odpowiednio. Z **Saskiej Kępy** naprzykład przywieziono mi kiedyś trawy koloru żyta lub owa, a tak puszyste i tak sutemi rozkładające się kiściami, że aż się proszą, żeby je w bukiet ułożyć. Co ty na to mówisz siostrzyczko? Myśl to nie moja, przyswoiłam ją sobie tylko, bo mi się wydaje bardzo pożyteczną i z tem też przekonaniem podsuwam ci ją i rozwadze twojej polecam, szczerze ci przychylna.

Droga Niezapominajko z nad Warty. Wszak wiesz, że obie z **Jaskółką** pragniemy pozostać nieznaną, a zatem przykro byłoby nam zdradzać *incognito* naszego pisma... Daruj zatem, że żądaniu twemu zadość uczynić nie możemy i zachowaj nam zawsze równie przyjazną życzliwość.

Golębka.

MARYA MATUSZEWSKA

PRZEŁOŻONA PENSJI WYŻSZEJ ŻEŃSKIEJ

W WARSZAWIE

przy ulicy **LESZNO** Nr. 28.

przyjmuje uczennice tak miejscowe jak przychodzące na warunkach bardzo przystępnych. Zapis odbywa się codziennie od 10 do 6-jej.